

Rozmyślania



Hania...

Zmarła Anna Kajtochowa. Poetka, powieściopisarka, publicystka i edytor. Ale to tylko ogólne przymioty, jakby trochę nienaturalne, nieprzystające do jej charakteru. Dlaczego? Czyżby nie była poetką? Była i to jaką, ale Ania, to przede wszystkim wspaniała kobieta. Delikatna, wrażliwa, cicha, wspaniała – po prostu wielka dama. Niedługo skończyłaby 83 lata.

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Znałem ją wiele lat. Spotykaliśmy się w Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Petrykozach czy Polanicy Zdroju. Zawsze pełna ciepła i pogody ducha. Zawsze uśmiechnięta, łagodna, zawsze cudowna. Pamiętam jak w listopadzie ubiegłego roku, w polanickim domu Krzysi i Andrzeja Bartyńskich siedzieliśmy w gronie poetów i, jak to w takich sytuacjach, rozmawialiśmy o literaturze... Ania mówi do mnie w pewnym momencie: „Andrzejku, ja ciebie bardzo przepraszam, ale dlaczego nie dbasz o swoją panią. Mówisz, że mnie kochasz, a ty co robisz? Teraz już nie myśl o tej swojej filozofii, teraz nalej mi kieliszek twojej pysznej miętuweczki”... Bardzo ją lubiła. Zdarzało się, że kilka dni przed jakimś wyjazdem dzwoniła do mnie i przypominała, żebym zabrał ze sobą „zielony eliksir” – tak nazywała moją nalewkę... Nie inaczej było i tym razem...

Nic nie wskazywało na to, że jest chora. To raczej Jacek, jej mąż, wydawał się być bardziej chorym, bardziej potrzebującym pomocy. I miał ją. Ania była dla niego najcudowniejszą opiekunką i piastunką. Wyrozumiała i kochająca...

Kajtochów zawsze kojarzyło się razem. Nie było Jacka bez Ani i Ani bez Jacka. Wszędzie razem, zawsze nierozłączni. Jak Romeo i Julia... Chociaż mnie bardziej pasowałoby porównanie do Heloizy i Abelarda. Z tym, że miłość u Kajtochów była szczęśliwa, a Ania nie pełniła do końca roli uczennicy. Często to ona strofowała swojego Abelarda, mówiła mu co ma

robić. To było takie cudowne, takie odmienne, takie nierzeczywiste...

Ania Kajtochowa była dla każdego jak matka. Otaczała swoimi skrzydłami dobroci każdego. W swoim Krakowie uważana była za kogoś, kto na pewno nie odmówi innym pomocy, szczególnie młodym, ale nie tylko. Promowała ich twórczość, gdzie się tylko dała, pomagała, redagowała, pisała wstępy, posłowa, recenzje... Do „Gazety Kulturalnej” regularnie przysyłała mi swoje szkice, pełne radości, zaangażowania i wiary. Bo Ania wierzyła w młodych, na nich stawiała, to w nich widziała nadzieję... Zawsze powtarzała: „pamiętajcie o młodych, nie zamykajcie się we własnym świecie, dajcie im szansę”.

Dużo do mnie pisała. Jej listy były prześiąknięte ciepłem i wielką przyjaźnią, jaka ukształtowała się między nami przez te wszystkie lata. Sporo pisała w imieniu Jacka, kiedy nie mógł już robić tego samemu z powodu poważnej wady wzroku. W liście datowanym na 17 grudnia 2010 roku pisała: (...) „Andrzejku, kochany, błagam Cię, puść mi najpierw tego Waltera [chodzi o Andrzeja Waltera, poetę i fotografa – A.D.], bo ten mnie zabije. Wiem, że u Ciebie jest długa kolejka, ale zrób coś. I dodaj także coś od siebie, no wiesz, jakiś wiersz, może ilustrację albo zdjęcie. Masz ich przecież tysiące. Uściskam i ucałuję Cię za to mocno”...

Wraz z odejściem Ani, skończyła się pewna epoka. Nie będzie już Ani, nie będzie Kajtochów, nie będzie wspaniałych wspomnień, nie będzie tej atmosfery tajemniczości i jakiegoś wyjątkowego nastroju, który zawsze powodował, że po powrocie do domu, czuło się jeszcze jakieś dziwne podniecenie, emocje, wielką chęć pisania. Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych. W pewnych dziedzinach może i tak jest, ale nie w kulturze, nie w literaturze. Tu nie ma ludzi, których można zastąpić kimś innym. Tu każdy jest osobny, indywidualny, niepowtarzalny.

Oj, Aniu... Dlaczego? Nie pojedziemy już razem do cudownej Polanicy, nie napijemy się kieliszeczka koniczki albo mojej nalewki i nie będziemy żartować, tak jak robiliśmy to przez lata... A kto Jackowi przyniesie herbatę?

Bo Hania, jak mówił do niej Jacek, była wyjątkowa. I to jest największa strata dla literatury...



Foto: Andrzej Dębowski

Anna Kajtochowa

Anna Kajtochowa

* * *

Były niegdyś wędrowki o świecie

Na promieniach układałam stopy
O źdźbła żytnie opieram dłonie

W wodach niebo kryło płat błękitu
Spięty klamrą zblakłego księżycza
Zatem chciałam ubrać siebie w niebo

Mlekiem pachną orosiałe trawy
I mroczniej krzewy w wąskim jarze

Teraz miedza powiedzie nad stawy
Nieprzytomne od żab i kumkania

Szukam kęp mchu i krwawnika
By nie deptać
Snu barw kolorowych
Ale za mną podążają krowy
I w ich pyskach
Piękno łąki znika.

A mnie jest szkoda

A mnie jest szkoda
Austro-Węgier
cukrowych głów
złocistych reńskich
Warkoczy Mariki
spod Debreczyna
(trochę jest dzika
lecz zuch dziewczyna
i wszyscy ją
królową zwał)
Ognistego czardasza
(leci huczy bystry potok)
leśnych nastrojów w walcu
dobrego cesarza
Franciszka Józefa
dam następcy tronu
i różnorodnego gwaru
na każdym jarmarku
Żywą legendą
toczyły się te czasy
w opowieściach Babuni
i Ojca
austriackiego żołnierza
który nie na jednym
froncie wrogów cesarza biął
i nie z jednego kielicha
włoskie i macedońskie
wino popijał
A mnie jest żal
umarłego a przecież
ciągle żywego świata
codziennie widnego
w blaknącej pamięci.

* * *

Jeśli w czyjeś życie
wrosł krzyż
to droga krzyżowa
pętli się bez miary
i kończy na Golgocie.